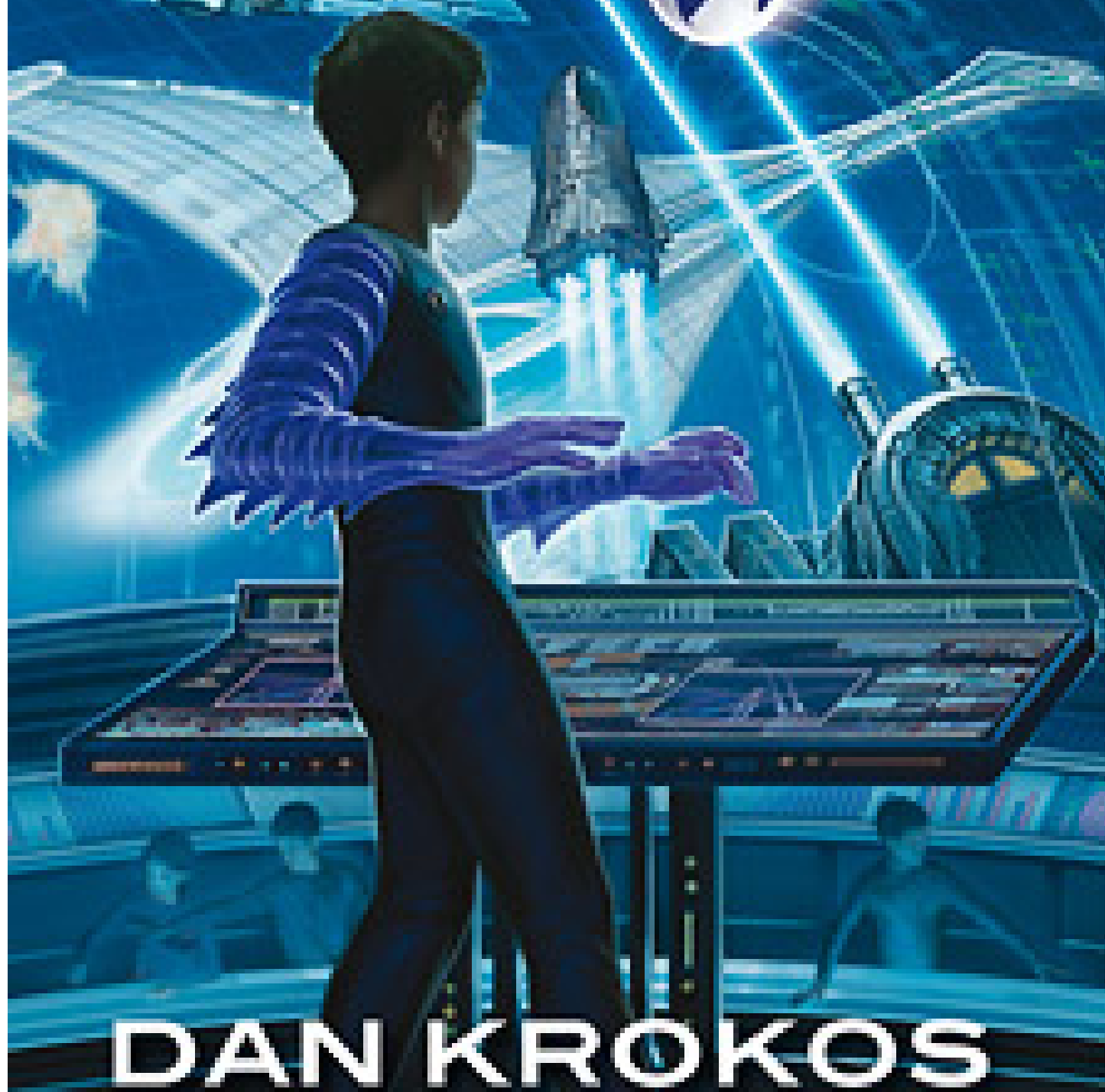


ZŁODZIEJA PLANETY



DAN KROKOS

„Wciągająca opowieść, w której akcja toczy się z prędkością światła,
napisana tak wspaniale, iż zastanawiam się, czy Dan Krokos nie jest tak naprawdę kosmitą!”

– Eoin Colfer, autor cyklu o Artemisie Fowl

Młodzi ku gwiazdom!

Fahrenheit Crew



Autor: Dan Krokos

Tytuł: *Złodzieje planet*

Tłum.: Michał Studniarek

Wydawnictwo: Drageus Publishing House, 2013

Stron: 308

Cena: 29,90 zł

W recenzji *Obcej pamięci*, pierwszej powieści Dana Krokosa, wylałem sporo gorzkości. Rzadko zdarza się, by początkujący pisarz wyrobił sobie u mnie tak negatywną opinię już po pierwszym kontakcie z jego twórczością. Dlatego z dużą rezerwą podszedłem do drugiej książki Amerykanina. Jak się okazało, niesłusznie: *Złodzieje planet* zapewnili mi bardzo przyjemną lekturę na jakieś dwa wieczory. Już od ponad półwiecza ludzkość toczy zażartą wojnę z Tremistami – bezlitosną rasą obcych najeźdźców, którzy mogliby służyć za bohaterów bajki do straszenia nieposłusznym dzieci, być może dlatego, że nikt ich jeszcze z bliska nie widział. Mason, dwunastolatek z akademii kosmicznej, uczestniczy z grupą kadetów w rutynowym locie okrętu *Egipt*. Jednak zamiast planowego wylatania przepisowej liczby godzin, czeka ich o wiele poważniejsze wyzwanie: zostają zaatakowani przez zniechęconego wroga. Tremiści zajmują okręt, zabijają sporą część załogi, resztę biorą do niewoli, młodzież jednak wymyka się im i zaczyna planować odbicie jednostki. Szybko wychodzi na jaw, że obcy wybrali *Egipt* nieprzypadkowo – chcą przejąć znajdującą się na jego pokładzie broń o niewyobrażalnym potencjale militarnym. Kadeci zostają zmuszeni do bezpardonowej walki nie tylko o własne życie, ale też przyszłość całej Ziemi...

Podczas gdy debiut Krokosa był powieścią młodzieżową, ta jest zdecydowanie przeznaczona dla dzieci. Nie tylko dlatego, że główni bohaterowie są w tak młodym wieku, ale też ze względu na skupienie się na szybkiej, często pozbawionej głębszego zamysłu akcji. A jeśli już jakieś refleksje się nasuwają, są zazwyczaj dość infantylne. Na przykład - Mason na pierwszych stronach jest jeszcze

psotnym urwisem, w miarę rozwoju fabuły zaś nieuchronnie będzie musiał nauczyć się odpowiedzialności, co raczej nie jest wątkiem zaskakującym. Kilka interesujących pomysłów zostało potraktowanych po macoszemu. Przede wszystkim, urządzenie służące do dokonywania kradzieży wymienionych w tytule to wymarzony temat dla wielbiciela *science fiction*. Jednak autor poskąpił nam fascynujących szczegółów dotyczących działania wynalazku, nie dowiadujemy się niemal niczego o jego mechanice, prawach fizycznych, które sprytnie wykorzystuje (albo kreatywnie nagina). Dostajemy tylko skromny opis wyglądu, i na tym koniec. Czyżby Krokos uważał, że dzieci są zbyt głupie na niewielką nawet ilość naukowego żargonu, i dlatego tak te opisy ograniczył, żeby nie zanudzić swoich docelowych czytelników? Mam nadzieję, że nie, a kolejny tom cyklu mocniej pobudzi wyobraźnię, przybliżając nieco specyfikę tej potężnej maszyny.

Walka z wrogiem tak tajemniczym, że nawet jego wygląd jest absolutnym sekretem, to ważny wątek książki. Okazuje się, że mobilizacja żołnierzy jest dużo łatwiejsza, gdy oblicze nieprzyjaciela jest nieznane – łatwiej wtedy wmawiać ludziom, jak okropne może ono być. Wyobraźnia dzieci i młodzieży reaguje na to szczególnie silnie. Bohaterowie opowiadają sobie z przerażeniem coraz bardziej wydumane historie o bestialskich przymiotach Tremistów, choć na temat wrogów tak naprawdę nic nie wiadomo.

Motyw trwającej od pokoleń kosmicznej wojny z obcą cywilizacją, bez znajomości choćby podstawowych faktów na temat jej kultury i przeszłości, może kojarzyć się z klasyczną *Wieczną Wojną* Joego Haldemana. Można wręcz powiedzieć, że *Złodzieje planet* są jej dziecięcą wersją – bez takiej porażającej ilości makabry, szorstkiego realizmu i pesymizmu. Nawet finał przypomniał mi tamtą powieść, mimo że jest bardziej dydaktyczny. Na plus trzeba książce zapisać, że to zakończenie, choć ma pouczać, nie stało się na szczęście moralizatorskie na siłę. Dotyczy to zresztą całej powieści: autor przekazuje w niej dużo treści mogących korzystnie wpłynąć na umysł czytelnika bardzo młodego, bez popadania w nachalne przesłania.

Nawiązania do kanonu SF na tym się nie kończą. Także fani *Gwiezdnych Wojen* znajdą w drugiej powieści Krokosa coś dla siebie. Zupełnie jak IV epizod kosmicznej sagi, książka rozpoczyna się abordażem sił wroga na okręt. Następnie mamy scenę przesłuchania siostry głównego bohatera przez ubranego w pelerynę mrocznego przywódcę Tremistów, skrywającego twarz za czarną maską. Potem ów jegomość obserwuje czyjeś wyczyny z mieczem świetlnym, by krótko je skomentować: „Imponujące”. Brzmi znajomo? Z pewnością większość czytelników odpowie twierdząco. Duch klasycznej *space opery* unosi się nad *Złodziejami planet* od pierwszych stron. Dobrze, że te podobieństwa wyglądają raczej na pełen uznania hołd, a nie na tanie naśladowictwo.

Jednak rozczaruje się trochę ten, kto uzna początek książki za obietnicę widowiskowych walk kosmicznych czy licznych podróży po egzotycznych planetach. Choć pierwsze partie tekstu zapowiadają naprawdę rozległe uniwersum i epicką rozgrywkę między obiema armiami, powieść okazuje się zaskakująco kameralna, a jej scenografia ograniczona. Akcja rozgrywa się niemal w całości na pokładzie jednego okrętu, gdzie większość przygód stanowią gonitwy po wielu korytarzach, bijatyki i okazjonalne strzelaniny, przeplatane krótkimi chwilami wytchnienia, kiedy bohaterowie kryją się w jakimś zaułku i opracowują dalszą strategię.

Ale przynajmniej dzięki takiemu umiejscowieniu akcji książka może się pochwalić długim i widowiskowym starciem z obcymi w wielkim pomieszczeniu, w którym panuje stan nieważkości, co naprawdę nie jest tak znowu ograne w literaturze SF, a więc przyczynia się do wyższej oceny. Szkoda tylko, że owa sekwencja, mimo niewątpliwych rozrywkowych walorów, jest dość niemądra. Na przykład grawitacja na przemian włącza się w niej i wyłącza, ilekroć jest to korzystne z punktu widzenia dramaturgii. W gatunku *space opera* zazwyczaj nie przywiązuje się wielkiej wagi do realizmu w kwestii praw fizyki, ale gdy wydarzenia rzadko wykraczają poza wąską przestrzeń, takie nieprawdopodobieństwa zaczynają nieco kłuć w oczy. Przy odrobinie dobrej woli można jednak

dopatrzeć się w takiej naukowej dezynwolturze uroku klasyki tego typu literatury.

Debiut Dana Krokosa, *Obca pamięć*, mocno mnie rozczarował, a nawet zmęczył. *Złodzieje planet* to książka o wiele bardziej udana i zapewniła mi dużo dobrej rozrywki, mimo iż jest przeznaczona dla innej niż moja grupy wiekowej. Cieszy mnie, że autor znacznie dojrzał literacko od pierwszej powieści, szkoda tylko, że już na początku swojej kariery rozmienia się na popularne cykle. Jest to zrozumiałe z punktu widzenia rynku, autor stara się kuć żelazo, póki gorące, jednak pod względem artystycznym takie pójście za ciosem może mu tylko zaszkodzić, gdyż grozi wieloletnim kiszeniem się w przysłowiowym własnym sosie. Jego trzecia książka, niedawno wydana na Zachodzie, to kontynuacja pierwszej serii, czwarta najprawdopodobniej okaże się *sequel*em drugiej. Mam nadzieję, że piąta nie będzie początkiem kolejnego tasiemca, tylko jakąś samodzielną opowieścią. Inaczej pisarzowi może być trudno się rozwinąć i zaskoczyć czymś czytelników. Niezależnie od tego, oby ów rozwój nastąpił jak najszybciej i zaowocował wartościową fantastyką.